

A full-page photograph of two soldiers in camouflage uniforms standing in a jungle. The soldier on the left is a man with a beard, wearing a green camouflage cap and holding a rifle. The soldier on the right is a man with a beard and blonde hair, wearing a green bucket hat and holding a rifle. They are standing on rocks in front of a dense jungle background. The word 'NAVAL' is printed in large, white, distressed letters across the top of the image.

NAVAL

PRZETRWAĆ BELIZE

Żołnierz GROMU-u o morderczym treningu
w podzwrotnikowej dżungli

BELLONA

NAVAL

**PRZETRWAĆ
BELIZE**

NAVAL

**PRZETRWAĆ
BELIZE**

BELLONA

W A R S Z A W A

Projekt okładki i stron tytułowych
Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce
Kamila Szkolnik-Gołdyn

Redaktor prowadzący
Zofia Gawryś

Redaktor techniczny
Bożena Nowicka

Korekta
Grażyna Ćwietkow-Góralna

Copyright © by Naval, Warszawa 2017
Copyright © by Bellona Spółka Akcyjna, Warszawa 2017

Dołącz do nas na Facebooku
www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona

Zapraszamy na strony
www.bellona.pl, www.ksiegarnia.bellona.pl

Nasz adres: Bellona SA
ul. Bema 87, 01-233 Warszawa
tel. 22 457 03 02, 22 457 03 06, 22 457 03 78
faks 22 652 27 01
biuro@bellona.pl

ISBN 978-83-11-14368-5
Nr 12123



Książkę wydrukowano na papierze
iBOOK Extra 2.0 80g m/2 dostarczonym przez Igepa Polska Sp. z o.o.

**„Nie szkolimy się dla awansów i dla medali.
Szkolimy się, byście czuli się bezpieczni i by miał
kto za was walczyć, jeśli będzie taka potrzeba”.**

**Słowa mojego przyjaciela i dowódcy wodnego zespołu
bojowego GROM-u podczas pogrzebu „Diabła”**

Pamięci chłopaków, którzy poświęcili swoje życie, byście mogli żyć bezpiecznie i czytać takie książki jak ta.

„Szczupły”

„Kaśka-Żuku”

„Diabeł”

„Osi”

„Poziomka”

„Witek”

„Mirek”

„Krzychu”

„Gienek”

WELCOME TO THE JUNGLE

Jest takie pragnienie, że woda smakuje jak wino, a wafel z pasztetem jest w stanie napełnić żołądek na cały dzień... Organizm mówi, że ma wszystkiego dosyć, a wściekle na ciebie sumienie dyszy, patrząc na obolałe nogi, które już nie chcą dalej iść. Organizm wrzeszczy, że ma tego wszystkiego dość i masz natychmiast odpuścić. Ty jednak tego nie słuchasz. Po skromnym posiłku i odsapnięciu nadchodzi satysfakcja z wykonanej roboty, przebytych kilometrów i... Idzie się dalej, choć płaska prosta wydaje się drogą pod górkę na jakiś cholerny szczyt.

Tak wyglądały moje marsze. Każdy krok przypomina o tym, że masz ciało i to ciało cierpi: taśmy plecaka wpijają się w ramiona, karabin ciąży niczym kamień, a stopy pokrywają się pęcherzami. Z każdym krokiem wydaje ci się, że gorzej być nie może, i za każdym razem jednak jest. WELCOME TO THE JUNGLE.

Ale ty nie masz wcale zamiaru się poddać i każdy krok jest twoim kolejnym sukcesem. Za każdym razem zapisujesz na swoim koncie wielkie zwycięstwo, a satysfakcji, która z niego wynika, nie da się z niczym porównać.

Bo chociaż zmęczenie boli, to ja lubię ten ból. Lubię pot i lubię czuć serce, które wali w klatce piersiowej ze zmęczenia, chcę wciążyć więcej i więcej wysiłku i adrenaliny. W mojej

pracy zmęczenie jest codziennością, ale nikt mnie do niego nie zmusza – sam to wybrałem. Zostałem żołnierzem, a potem przeszedłem selekcję do jednej z najlepszych jednostek na świecie – trafiłem do GROM-u, gdzie ciężki trening stał się jednym ze sposobów na życie.

Jak dać radę, gdy wszystko – otoczenie i twoje własne ciało – są przeciwko tobie? Każdy szuka jakiejś ucieczki. Ja znalazłem ją w przypominaniu sobie opisów marszów innych piechurów, a wśród nich opowieści Sergiusza Piaseckiego, tego od *Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy*. Tak narodził się pomysł, aby spisać pamiętnik własnego marszu. Ten pamiętnik z kolei zamienił się w książkę, którą właśnie czytacie.

Zapraszam was do dżungli w Belize. To nie jest bezpieczne miejsce, macie więc szczęście, że wybieramy się tam razem. Chcę wam pokazać, jak wygląda walka o życie tam, gdzie niemal wszystko może się okazać potencjalnym zagrożeniem. Mam nadzieję, że doświadczycie tego samego co ja: potu, zmęczenia, krwi... I cholernie niesamowitej satysfakcji.

CZĘŚĆ I

DROGA DO BELIZE

SELEKCJA

Jeśli chcesz nosić beret jednostki specjalnej, przygotuj się na piekło na ziemi, bo trafisz do niego kilka razy.

Pierwszy raz trafiłem do takiego piekła podczas selekcji do firmy, jak nazywamy GROM. Kiedy było po wszystkim, moje stopy wyglądały jak opuchnięte balony. Nigdy nie zapomnę, jak po ukończeniu selekcji siedziałem boso przed domem i próbowałem chłodzić stopy o zimny beton. W głowie kręciło mi się z wyczerpania, ale zamiast wyć ze zmęczenia, czułem dziką satysfakcję. Dałem radę! Zmusiłem ciało i umysł, żeby się nie poddały, a potem, już po wszystkim, mogłem przybić piątkę z żołnierzami, którzy zorganizowali selekcję do GROM-u. Wojsko, w którym do tej pory służyłem, przyzwyczaiało mnie do krzyku i poniżania, a ci faceci, choć emanowali siłą i władzą, byli spokojni i opanowani. To sprawiło, że byli też dużo bardziej skuteczni w próbach złamania nas. Sączyli do ucha jad. „Nic na siłę, jesteś zmęczony – słyszałem pełen zrozumienia i troski głos. – Jeśli już nie dajesz rady, to siadź na ławce, odpoczniesz”. Starałem się ich nie słuchać i pamiętać słowa wypowiedziane na samym początku selekcji: „To wy musicie chcieć – robicie to dla siebie”.

No i zrobiłem to dla siebie.

Dla każdego z firmy kolejne selekcje nie są niczym wyjątkowym. Selekcja tak naprawdę trwa dla nas ciągle i nigdy się

nie kończy. Kiedy pojawiła się propozycja, żeby wyjechać na Jungle Patrol Curse do Belize, było jasne, że konieczna będzie kolejna selekcja. Kryteria wyboru uczestników były proste: sekcja to sześć osób, dowódcą ma być gość ze znajomością angielskiego na poziomie drugim (pozostałym wystarczy poziom pierwszy), a wszyscy muszą zaliczyć CFT – Combat Fitness Test. W Polsce wyjazd na zagraniczny kurs wciąż jest przedstawiany jak cholerne wyróżnienie, a od gościa ze szkoleniówki usłyszeliśmy nawet, że „po tym kursie dostaniecie takie kwity, że nikt was nie ruszy” – niektórzy mają naprawdę śmiesznie podejście do ciężkiego treningu... Nie przepychaliśmy się, kto ma jechać, ale kandydatów było (jak zawsze) trochę więcej niż miejsc.

Zanim jednak przyszedł czas na Combat Fitness Test, trzeba było zdać egzamin z angielskiego przed brytyjskim attaché wojskowym. Coś tam powiedzieć umiałem (pierwszy poziom miałem zaliczony), ale z pisaniem byłem jak przedszkolak. Kumpel napisał mi wzruszający poemat o tym, jak to ja bardzo chciałbym jechać do dżungli i co mi to szkolenie da. Nauczyłem się tego na pamięć, a potem literka po literce opisywałem na egzaminie swoje zamiłowanie do dzikiej przyrody. Egzamin ustny miał postać pogawędki z attaché, który na szczęście nie wykazywał jakichś sadystycznych skłonności i poprzestał na gadce o tym, czy jestem żonaty i dzieciaty, gdzie bywałem i wojowałem oraz czy chcę jechać na kurs. Nie rozgadywałem się specjalnie, ale miałem w zanadru tajną broń. Na koniec pięknie wyśpiewałem wyuczone zdanie o tym, że tak naprawdę to prawdziwy żołnierz zawsze zrozumie innego prawdziwego żołnierza, niezależnie od języka. Chyba to zrozumiał...

Po wszystkim attaché grzecznie się z nami pożegnał, życzył powodzenia i jeszcze raz serdecznie zaprosił na kurs. Z tym zaproszeniem trochę przesadził, musicie bowiem wiedzieć, że za kurs płaciliśmy my. A może powinienem powiedzieć „wy”?

Bo „my” to znaczy firma, a to z kolei oznacza po prostu podatnika. Nasz szef szkolenia jednak pominął tego typu subtelności i z dumą zakomunikował, że nie wyobrażał sobie, by ktoś mógł nie zdać, ale kto konkretnie pojedzie, tego dowiemy się trochę później.

Lista zakwalifikowanych na kurs nie była zaskoczeniem. W składzie sekcji był więc major, kapitanowie, porucznicy i chorąży. Niektórzy się podśmiewali, że jedzie „patrol oficerski”, a Naval (starszy chorąży) jest tam tylko dla przyzwoitości. Te zarzuty nie były do końca prawdziwe, bo nie zwracaliśmy tak bardzo uwagi na stopnie. Tak po prostu wyszło. Może to nie jest dla wszystkich oczywiste, ale sekcja nie musi się zawsze składać z oficera i wojska – oficerowie też mogą być wojskiem.

Dowódcą sekcji został Śniady i zabrał się do stworzenia ambitnego planu przygotowań, który reszcie naszej piątki niespecjalnie przypadł do gustu. Pluralizm nie był najmocniejszą stroną naszej grupy, bo Śniadego za specjalnie nie obchodziło zdanie innych. Mimo to miałem do niego zaufanie, bo gość był moim instruktorem od zielonej taktyki (jednego ze szkoleń w siłach specjalnych: walki w terenie) na kursie podstawowym i całkiem nieźle sobie radził, a do tego miał na koncie zaliczony kurs amerykańskich zielonych beretów.

Śniady przydzielił nam funkcje i kolejność w patrolu. Na przędzie ja jako skaut, czyli osoba odpowiedzialna za czyszczenie drogi, wykrywanie zagrożeń na trasie przemarszu i mierzenie dystansu. Drugi był Shagi, który został nawigatorem – to ważna fucha, bo od niego zależy, czy grupa dojdzie w miejsce działania. Trzeci to Śniady – dowódca, który powinien być jak człowiek orkiestra: zna się dosłownie na wszystkim, a jeśli się nie zna, to korzysta z wiedzy swoich ludzi, no i spina ich w całość. Czwarty siedł Karol jako łącznościowiec, który niesie ze sobą ciężką radiostację z zapasem baterii. Piąty – zastępca dowódcy

Maniek, prawa ręka Śniadego. Stawkę miał zamykać Bazyl, który w razie konieczności zastąpi w nawigowaniu Shagiego, no i zabezpiecza tyły.

Plan przygotowań i jego realizacja bardzo szybko okazały się męczarnią. Zajęcia z nawigacji, planowanie, czytanie map i jeszcze raz planowanie... Okej, to wszystko jest ważne, ale ileż można w kółko planować! Planowanie to tak naprawdę robota sztabowa, czyli gry wojenne na mapach, wytyczanie naszych posunięć i przewidywanie, jak zachowa się przeciwnik. Z planowaniem radziłem sobie nieźle, nawigacja i kompas to był pryszcz – tak mi się przynajmniej wydawało. Od siedzenia na stołku i słuchania zaczynał mnie boleć tyłek, więc szukałem wszelkich pretekstów, żeby robić coś innego. Jaki ja wtedy się stałem uczynny! Wciąż biegałem: a to po pisaki, a to po mapy czy klocki na makiety. Wyprawa po to wszystko zajmowała mi zazwyczaj trochę więcej czasu, niż powinna, ale zawsze wszystko było załatwione.

Śniady wymyślił sposób na to, by zadbać o nasze skupienie w czasie zajęć teoretycznych. Na jego polecenie Maniek, gdy Śniady prowadził wykład, miał wypatrywać, kto przysypia. Przyłapany był stawiany do pionu, a kiedy już wszyscy stali, to miał być znak, że konieczna jest przerwa. Zasypiałem więc z otwartymi oczami, by nie musieć stać. Planowanie zakończyło się jednodniowym wyjściem w teren i przeprowadzeniem rozpoznania. No i kłapa! Zadanie było naprawdę proste: mieliśmy w lesie, na polanie, obserwować pojazd z żołnierzami, nic więcej. Problem w tym, że pojazd się spóźnił, a ja z Shagim już zająłem pozycję do obserwacji. Leżymy zakamuflowani w okolicy polany i tu pech jak cholera – kierowca wybrał sobie dojazd na polanę tak, że jechał prosto na nas. Nie bardzo mieliśmy wyjście, więc pozostało tylko wstać i w nogi. No i po zadaniu...

Całe szczęście, że w terenie była jeszcze inna grupa obserwacyjna, a i my dostaliśmy potem drugą szansę.

Przyszła wreszcie czas na Combat Fitness Test. Słyszeliście coś o nim? CFT to trzynaście kilometrów w dwie godziny i wający piętnaście kilogramów plecak na grzbiecie. Potem każą jeszcze biegać dwa i pół kilometra w czasie nie krótszym niż dziewięć minut i trzydzieści sekund, do tego jakieś pompki i brzuszki. Nie brzmi groźnie? Szkoda, bo powinno. CFT może powalić nawet tych najlepszych, którzy pokonali w życiu niejedną trasę i niejedną górę. Taki sprawdzian czekał naszą sekcję przed wyruszeniem do Belize. Po co tak się męczyć przed forsownym wyjazdem? Każdy z organizatorów kursu przetrwania musi urządzić taki sprawnościowy cyrk, by już na starcie wyeliminować maruderów. Na nas to jakoś nie działało, bo byliśmy przyzwyczajeni do ciągłych fizycznych sprawdzianów.

Do CFT każdy z nas przygotowywał się sam – niestety, przez ciągle odprawy i planowanie nie wystarczyło czasu, by zrobić to razem. Przygotowanie do marszu było przyjemnym odreagowaniem godzin wysiedzianych na stołku. Mieszkalem już wtedy w siedemnastopiętrowym wieżowcu, więc zalewałem potem schody, maszerując po klatce schodowej. Nikomu nie chce się wchodzić tak wysoko, więc raczej było pusto, choć trafiał się od czasu do czasu jakiś chętny na pogawędkę. Gdyby zliczyć wszystkie moje wycieczki po schodach, to okazałoby się pewnie, że na własnej klatce schodowej zaliczyłem Mount Everest.

CHCESZ SIĘ PRZYGOTOWAĆ NA TRUDNY I WYCZERPUJĄCY MARSZ?

Chcesz wysiłku i potu? Pomogę ci go polubić. O co masz zadbać?

1. Usiądź i porozmawiaj z samym sobą: czy naprawdę tego chcesz? Musisz chcieć się zmęczyć!

2. Zadbaj o sprzęt, żebyś mógł komfortowo chodzić: wygodne buty, dobra bielizna i ubranie na każdą pogodę. Po prostu zadbaj o swój komfort, bo nie będzie łatwo!
3. Zaczynij od sprawdzenia samego siebie. Musisz wiedzieć, z jakiego pułapu startujesz, a poza tym lubimy się sprawdzać – choćby tylko przed samym sobą!
4. Zrób sobie sprawdzian ze wszystkiego – idą nie tylko nogi, ale i ramiona, które niosą plecak, więc oceń swoją wydolność biegową, podciągnij się na drążku, sprawdź, ile pompek i brzuszków jesteś w stanie zrobić oraz jak pływasz i nurkujesz.
5. Trening rozpocznij od sześćdziesięciu procent swoich możliwości – trening wstępny ma być przyjemnością, a jeśli będziesz sobie równomiernie dokładał obciążenia, będzie jeszcze większą przyjemnością, bo zobaczysz, że możesz dalej, szybciej i więcej.
6. Dbaj o dietę i wypoczynek – one też mają być częścią twojego przygotowania.
7. Jesteś zmęczony i dalej już nie możesz? Siądź na ławce i odpocznij – robisz to przecież tylko dla siebie. Trenuj tak, byś po każdym treningu czuł niedosyt i sam chciał więcej!
8. Postaraj się raz na jakiś czas – na przykład raz w miesiącu – zrobić wszystko na maksa. Zrób to bez zegarka, ale niech ktoś cię przypilnuje. Nie rób tego sam, ale zrób to dla siebie – tak jakbyś walczył o przetrwanie.
9. Sprawdzian i wyniki tak naprawdę nie są ważne, ale podpowiedzą, jak twoje ciało zachowuje się w sytuacji ekstremalnej i czy nie ćwiczysz za dużo. Jeśli tak, to zwolnij!
10. Dbaj o siebie! Jeśli masz kontuzję, wrzuć na luz, jesteśmy tylko ludźmi.

Reszta chłopaków też musiała sobie jakoś radzić – no, może z wyjątkiem Mańka, który nie musiał robić nic. Gość ma marsz w genach. Może po prostu iść, iść i iść, a do tego robi to w niezłym tempie.

Ponieważ mnie przypadła rola skauta, a więc tego, kto idzie na przodzie i liczy, jaką odległość pokonujemy (to zaś jest podstawą orientacji w terenie), musiałem naprawdę poważnie podejść do sprawy mierzenia dystansu. W polskim lesie różnie bywało z tym mierzeniem odległości, więc co będzie w dżungli? Postanowiłem się wspomóc elektroniką. Parokroki miałem policzone i zgrane z GPS-em – siedemdziesiąt parokroków to sto metrów. Kupiłem sobie krokomierz, który doskonale sprawdza się na równym terenie (przechył ciała to dla niego jeden krok), ale już trochę gorzej, gdy teren nie jest płaski. Im więcej dowiadywałem się o dżungli, tym bardziej uświadamiałem sobie, że potrzebny jest nam specjalistyczny sprzęt.

Angole przysłali listę tego, co każdy z nas powinien mieć. Niestety, zapomnieli do niej dopisać: „i co tam sobie jeszcze życzyacie – we własnym zakresie”. Wzięliśmy więc tylko to, co było na liście, i koniec. W efekcie nie zabraliśmy nowinki technicznej, jaką jest noktowizor. Na dodatek w Polsce nie da się od ręki załatwić specjalistycznego sprzętu do walki w dżungli – w sklepie z wędkami takich rzeczy przecież nie kupisz. Na szczęście przynajmniej wiozłem GPS...

Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak ważną rolę odgrywa sprzęt. Tu chodzi nie tylko o funkcje, które pełni, ale też o pewność i poczucie bezpieczeństwa, jakie daje. Wiele razy widziałem, jak na łodzi sprzęt nie znikał w morskich otchłaniach, bo po prostu był przymocowany odpowiednio mocną linką. Mówiąc krótko, musisz mieć sto procent gwarancji, że sznurek nie pęknie – wtedy wiesz, że ty też nie pękнеш.

Kiedy do wylotu do Anglii zostało kilka dni, musieliśmy się zweryfikować i zrobić na miejscu CFT. Miałem już tyle

kilometrów w nogach, że nie wydawał mi się on jakimś strasznie trudnym sprawdzianem – to tylko trzynaście kilometrów w dwie godziny i piętnaście kilo na plecach. Bez jaj, ja nie dam rady? Zapomniałem o jednej ważnej rzeczy: gdy chodziłem sam, mogłem maszerować we własnym tempie. Jak chciałem podbiec, żeby nadrobić – proszę bardzo, nie ma problemu. Tymczasem w kupie maszerować jest znacznie trudniej.

Śniady wymyślił sobie, że test zrobimy na poligonie. Asfaltowa droga będzie naszym szlakiem, a samochód wymierzy trasę tam i z powrotem. Trzynaście kilometrów po rozgrzanym asfalcie. I jak w westernie: start w samo południe. Upał jak cholera, więc mówię, żeby zejść z tego pieprzonego asfaltu i iść w cieniu po leśnej ścieżce. Co na to słyszę? Że nie będziemy sobie ułatwiać! Kurwa mać!!! Bycie żołnierzem sił specjalnych wymaga kreatywności, więc i tak sobie ułatwiłem – do plecaka załadowałem camelbak z dwoma litrami wody (nie dość, że się ją wypije, to jeszcze zmniejszy się ciężar na plecach).

Śniady wymyślił też sobie, że mamy iść w dopiero co kupionych butach jungle. Na takie numery nie miałem zamiaru dać się nabrać, bo wiedziałem, jak będą wyglądać moje stopy po tylu kilometrach marszu w nowych butach z twardej skóry, które pozwolą poczuć dogłębnie każde przeszcycie, każdy wystający skrawek. No i zaczęło się gadanie: że Naval to nie do końca powinien mieć zaliczone, że buty nieregulaminowe... Zaczynałem żałować, że nie zrobiłem tak jak Shagi, który aby uniknąć takiego przypierdalania się, wykorzystał nie do końca zaleconą kontuzję i dostał zwolnienie lekarskie z zajęć fizycznych. Dzięki temu, zamiast zasuwać po asfalcie, siedział w kabinie samochodu mierzącego dystans i zamykał pochód. To jest kreatywność!

Maszerujemy. Co pewien czas zmienia się prowadzący, żeby utrzymać równe tempo. Taka zmiana bardzo pomaga, ma działać na psychikę i pokazać, że nowe siły są na przodzie.

Słońce daje, ile może i bez litości, w nogach coraz mniej siły, a Maniek „zachwala” nowe buty – cudnie się dopasowują, każdy szew idealnie wżyna się w skórę. Do dziesiątego kilometra jakoś dajemy radę, prowadzący płynnie się zmieniają. Poznajesz, że coś jest nie tak w grupowym marszu, gdy dochodzi do zmiany lidera i nowy okazuje się na tyle słaby, że stary wręcz musi się zatrzymać, aby tamten mógł wyjść na czoło. Karol nie daje rady ze zmianami – zwalniam, dopinguję go, a on tylko sapie jak lokomotywa. Nie ma wody, więc daję mu trochę pociągnąć ze swojego bukłaczka, ale to już nie pomaga. Idzie zygzakiem, zwalnia, a potem pikuje i pada do rowu zemdlony z wysiłku i odwodnienia.

Shagi wyskakuje z samochodu i rzuca się na pomoc, ale Śniady drze się, że on jako dowódca stanowczo zabrania „wszelkich działań pomocowych ludziom z zewnątrz grupy marszowej”. Stawiamy Karola na nogi, biorę jego plecak i jak jakiś Szerpa niosę plecak na plecaku. Teraz mam na grzbiecie dwadzieścia osiem kilogramów – Karol, niestety, nic sobie nie ułatwił. Zostało nam jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów do ostatniej nawrotki, a z niej jeszcze z pięćset metrów i meta, ale było coraz gorzej. Przegrzanemu i przemęczonemu Karolowi nie tylko nogi odmówiły posłuszeństwa, ale i głowa. Gdy on coś mamrotał i paplał od rzeczy, czas płynął nieubłaganie. Maniek, który doprowadził Karola do miejsca, gdzie nawracamy, zostawił go pod opieką Shagiego. Dalej nie było sensu nieść plecaka Karola, bo i nie było komu dalej iść. Z Mańkiem, równym krokiem i bez balastu, nie patrząc na pozostającą w tyle dwójkę, dokończyliśmy tę piechurską gehennę z sukcesem i mieszcząc się w czasie.

Wreszcie przyszedł ten cudowny moment, gdy tyłek spotyka się z oparciem, a z ramion spadają taśmy plecaka. W końcu doczłapali też Śniady z Bazylem. Nowe buty zrobiły swoje i wszyscy oprócz mnie mieli tak otarte stopy, że pod koniec marszu

chlupał w nich nie pot, ale krew. Śniady się tym specjalnie nie przejął – był wręcz zadowolony z tego poświęcenia i pełen dumy z odniesionych ran! Mnie zaś brała cholera, bo od marszu po asfalcie odbiłem sobie stopę i czułem to przy każdym kroku. To nie jest dobry znak, gdy wybierasz się do dżungli.

Na drugi dzień było jeszcze gorzej. Ja miałem gorączkę, stopa nadawała się do gipsu, a nie na kurs i test, jaki czekał mnie za parę dni w Anglii. O poranku okazało się, że do Belize pojedzie pięć kalek i Shagi, który tylko swojemu zwolnieniu zawdzięcza brak obrażeń. Stopy każdego z chłopaków były całe w plastrach. Marsz na szczęście zaliczono wszystkim – nawet mnie, choć miałem „nieregulaminowe” buty.

Stękając z bólu, zabraliśmy się do pakowania. Pakowanie to bardzo ważna część żołnierskiej poniewierki. To prawdziwa sztuka, bo jeśli czegoś nie weźmiesz, to na miejscu tego nie kupisz. Jeśli jednak zabierzesz za dużo, to będziesz musiał to potem niepotrzebnie dźwigać. Owszem, możesz wyrzucić, ale wyrzucić szkoda, bo najczęściej to coś drogiego i bliskiego sercu. Przy pakowaniu trzeba się naprawdę nieźle nagłówekować!

Tym razem ograniczała nas waga bagażu, jaki można było zabrać do samolotu. Mimo to rzeczy było na tyle dużo, że postanowiliśmy je zabrać w skrzyniach – są wygodne i zapewniają dobrą ochronę. W przeddzień wylotu Śniady zebrał nas z całym dobytkiem i ku ogólnemu zaskoczeniu zaczął sprawdzać, czy wszystko mamy. Przysłana przez Anglików lista sprzętu do zabrania była długa, więc potraktowaliśmy ją raczej jak zbiór sugestii. Gdy Śniady zabrał się do sprawdzania, jak sobie z nią poradziliśmy, ku jego ogólnemu zniesmaczeniu wyszły na jaw braki i w ogóle brak naszego profesjonalizmu.

Wstyd pisać, ale zaczęło się: że ołówek zaostrozony tylko z jednej strony (a Anglicy napisali, że ma być z dwóch!), że nie ma widelca i łyżki... Na nic tłumaczenie, że ołówek ma taką

cudowną właściwość, że można go zaostrzyć. Tym bardziej że zawsze mam przy sobie nóż.

Musicie wiedzieć, że przy pakowaniu bardzo ważne jest, aby najpotrzebniejsze rzeczy mieć zawsze w bagażu podręcznym. Tego nauczyły mnie lata w firmie, więc czuję się nieswojo, kiedy nie mam w plecaku sznurka, plastikowych kajdanek, czarnej taśmy, małej apteczki i jeszcze kilku drobnych, ale bardzo przydatnych gadżetów. Obowiązkowo w kieszeni muszę mieć nożyk. Wyobrażacie sobie pewnie, że po to, żeby przydał się w walce na śmierć i życie? Ech...

Nożyk nosi się zawsze przy sobie nie po to, żeby komuś odciąć głowę. Zastanówcie się, jak często trzeba się mocować z czymś ciasno związanym jakimś wyjątkowo upierdliwym sznureczkiem – jeśli macie przy sobie nożyk, nie trzeba się siłować z węzłkami. Nożyk jest po to, żeby ułatwiać sprawy. Ja lubię sobie ułatwiać (bo czemu, do cholery, życie nie może być łatwiejsze?), więc zawsze go przy sobie mam. Wam radzę dokładnie to samo, ułatwiajcie sobie!

Pakując się, zróbcie sobie listę rzeczy głównych i zapasowych. Rzeczy główne w moim wypadku to: nożyk (najlepiej taki otwierany jedną ręką), zapalniczka, latarka, dwumetrowy sznurek lub linka zakończona karabinkiem i apteczka – to mam przy sobie prawie zawsze. Zapasowe rzeczy kompletuję, gdy wiem, że czeka mnie jakaś mała wycieczka. Dokładam wtedy wielofunkcyjne narzędzie Leathermana, dodatkowe baterie, wodę, batoniki, telefon, no i – w zależności od pory roku – dodatkowe ubranie.

NAVAL

Area of Responsibility



Size: 500m x 400m



PRP - Patrol Reference Point - stream - hill overlooking
Grid 831339



x 400m

8310339

NAVAL

SEKRETY SZKOLENIA SZTURMOWCÓW GROMU-U

Zabieram was do dżungli w Belize.

To nie jest bezpieczne miejsce.

Wokół duszne, zielone piekło.

Wszystko, co lata, chce się dobrać do waszej krwi.

Wszystko, co pełza i syczy, może was zaatakować.

Poznać sekrety tropienia wroga w dżungli i budowania
pułapek, a także przetrwania w ekstremalnych warunkach,
gdzie jeden błąd może kosztować życie.

Trzy tygodnie w najbardziej dzikim miejscu na ziemi skutkują
utratą 15 procent wagi ciała. Ale te trzy tygodnie szkolenia
dają przepustkę do świata GROM-u.

patronat



Muzeum
Powstania
Warszawskiego



lubimy czytać.pl

DEMOTYWATORY.PL

Wojsko

STRZAŁ
STRZAŁ

Rana Śmiertelna

SPECIAL OPS

Red Bull

Red Bull

Poligon

MILITARIA



Polska Zbrojnia

MILITARIA



ISBN 978-83-11-14368-5



9 788311 143685

www.księgarnia-bellona.pl

Nr 12123

patroni medialni